Tom III. 11. Marca 1871. Nr. 8.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Sebastjan Kubinek.

Byłem niedawno temu w pewnem mieście na jarmarku i stanąłem sobie przed obraźnikiem, albowiem tu się najwięcej ludzi zgromadzało. Obraźnik rozwinął lakierowane płótno, i pokazywał obrazy, które miał w niem zawinięte. Byli na nich różni cesarze i króle, ministrowie i uczeni ludzie, były wojny i różne widoki malowane, ale żaden z tych obrazków nie zajął tak patrzących ludzi, jak jeden, na którym obaczyli człowieka poczciwego oblicza, słusznej postawy, w kapeluszu na głowie, z pod którego spływały czarne włosy, w sukmanie długiej, białej, z zieloną skrzynką na plecach.

— A to pewnie jakiś wieśniak? — powiedział jeden gospodarz.

— Z pewnością nie kto inny — powie drugi — ale rzecz ciekawa, czem on się też tak zasłużył, że go aż malują na obrazach?.,.

Wtem przystępuje do obraźnika jakiś człek z miejska ubrany i pyta:

— A kto też to być może ten oto człowiek w białej sukmanie? Na to powie obraźnik:

— To jest Sebastjan Kubinek, chłop czeski, który bardzo wiele rozsprzedał książek.

Tu zaczęli patrzący ludzie kręcić głowami i mówić o owym Kubinku, ale nic a nic o nim nie wiedzieli więcej, bo i sam obrażnik tylko tyle wiedział o nim.

Aż tu na szczęście odzywa się ksiądz pewien, który tam stał zboku:

— Posłuchajcież cierpliwie, moi ludzie, to wam rozpowiem zaraz o tym Kubinku, boć to i warto wiedzieć o nim, jako o wielkim człowieku, który się w Czechach wielce przyczynił do rozszerzenia oświaty między ludem.

Patrzący ludzie odeszli obrażnika; obstąpili księdza do około, a on tak do nich mówił:

— Wiecie o tem dobrze, moi kochani, że u nas teraz wszelkiemi możliwemi sposobami starają się dobrzy ludzie o oświatę; a więc zakładają szkółki, drukują książki i gazety, a to wszystko na to, żeby nastąpiło lepsze poznanie wszystkiego i korzystanie z każdej rzeczy. Idzie to atoli wszystko jeszcze z oporem i pomału, bo ludzie nie mają należytego przekonania i pojęcia o dobrej sprawie. Tak było i w innych krajach. Jednakże gdyby nie oświata, nie byłyby się tak spanoszyły zagraniczne kraje; nie byłyby rozporządzały tak wielkeimi sumami pieniędzy, jak to mogą robić dzisiaj. Oświata dobra postawiła je na nogi. Przed niedawnym czasem i w Czechach, co to leżą za Szlązkiem i Morawą. było źle i szło twardo, jak z kamienia, bo nie było takiej jak dzisiaj oświaty. Ale Czesi pomyśleli sobie tak:

— Długo tak być nie może, boby nam zawsze źle było; trzeba się goręcej wziąć do pracy!

Jakoż zakładali szkólki niemal w każdej gminie, nakazali rodzicom koniecznie posyłać dzieci na naukę; wydawali książki i gazety, a ludzie, z początku niechętni, zasmakowali w czytaniu, i dzisiaj mało znajdzie się tam takich którzyby czytać i pisać nie umieli. I powstał też wnet nowy zarząd domowy, nowa gospodarka, a przytem przemyślność co się zowie. Różne osoby brały udział w szerzeniu oświaty, brało także i czeskie duchowieństwo, które utworzyło w Pradze, co to jest stołecznem

miastem w Czechach, towarzystwo i dało mu nazwę: Dziedzictwo św. Jana. Otóż to towarzystwo wzięło sobie za obowiązek wydawać dobre i tanie książki i rozpowszechniać je między ludem.

Wnet potem powstało drugie takie towarzystwo w mieście Bernie i nazwało się: Dziedzictwo św. Cyryla i Metodego, na uczczenie tych dwóch wielkich apostołów, którzy roznosili światło wiary prawdziwej pomiędzy Słowianami. To piękne towarzystwo tak się urządziło: kto przystąpi do niego, a zapłaci raz na zawsze 12 reńskich, temu przez całe jego życie przysyła darmo co rok przez siebie wydawane książki, a gdyby, czego Boże broń, umarł który z członków, to księża należący do tego towarzystwa odprawiają za jego duszę co rok w jednym dniu nabożeństwo.

— A to piękne towarzystwo, miły Boże! — powiedział jeden ze słuchających.

— Pewnie, że piękne — odrzekł ksiądz — a przecież z początku bardzo mało liczyło członków. Takie i w Czechach było wówczas złe zrozumienie rzeczy, jak nieprzymierzając u nas w dzisiejszym czasie. Ale przecież za pomocą Bożą dobra sprawa zawsze zyskuje zwolenników. Tak i towarzystwo to zjednało sobie wielu ludzi, a najgorliwszym z nich był Sebastjan Kubinek, którego widzieliście na obrazku. On poparł towarzystwo tak silnie, że dzisiaj ma ono kilkadziesiąt tysięcy członków.

— A jakżeby zaś włościanin mógł się tak wielce przyczynić do togo? — zapytał jeden ze słuchaczów.

Na to powie ksiądz dobrodziej:

— Właśnie chciałem wam to opowiedzieć. Otóż tak się rzecz miała: Sebastjan Kubinek urodził się na wsi, gdzie ojciec jego nie zbyt bogatym, ale bardzo zapobiegliwym był rolnikiem. Sebastjana małego posyłał on do szkoły, gdzie się uczył czytać i pisać, a po nauce pomagał ojcu w gospodarstwie, aby się zawczasu przyzwyczaił do takiej pracy, bo ojciec nie miał zamiaru posyłać go dalej do szkoły. I dobrze się prowadził Sobuś mały i ojciec z niego bardzo był zadowolonym. Aliście w krótce umierają mu rodzice, zostaje więc właścicielem chaty i roli. Poświęca się z całym zapałem gospodarce, pracuje

pilnie i ochoczo; każdy ciężko zarobiony grosik chowa do kalety i oszczędza, bo sobie tak myśli:

— Rola moja daje mi na tyle, że się uczciwie wyżywić mogę; na cóż tedy mam wydawać pieniądze?... Pijakiem nie jestem, do karczmy nie pójdę, bo tam człowiek najlepszy przemieni się w najgorszego...

I nie chodził do karczmy, siedział w domu i pracował, a w niedzielę i święto czytywał sobie dobre i pożyteczne książki, które sobie skupował za grosz oszczędzony. I po niejakim czasie sam się przekonał, że jest jakimś lepszym, że świat się cały do niego uśmiecha. Owoż z tego powodu tak polubił czytanie, że je uważał za najmilszą dla siebie zabawę. I sprowadzał książki jednę za drugą i czytał każdą z rozwagą. Ale po niejakim czasie zrobiło mu się markotno, że inni włościanie z małym bardzo wyjątkiem nic a nic nie czytają. Właśnie w tym czasie dowiedział się o pięknem towarzystwie św. Jana i o łatwości, z jaką można nabywać dobre i pouczające książki, i pożyteczne a tanie pisma. Więc sobie znowu tak myśli:

— Byłoby to dla mnie wielką zasługą przed Bogiem i ludźmi, gdyby mi się udało obudzić zamiłowanie do czytania między wiejskim ludem. Rozpocznę w imię Boże, a za łaską nieba może będzie pomyślny skutek.

I nie omylił się poczciwy Sebastjan, bo rozszerzając książki wydawane przez towarzystwo św. Jana, tyle doznawał pociechy, że chcąc się najsumienniej oddać swemu posłannictwu, sprzedał swą chatę, rolę i dobytek, udał się do Pragi i prosił am księdza arcybiskupa, aby mu dał pozwolenie do sprzedawania książek wydawanych przez towarzystwo św. Jana i zjednywania dla niego członków.

Na taką wiadomość ucieszył się ksiądz arcybiskup i księża z towarzystwa i dano mu najchętniej, o co prosił, a Sebastjan zaczął zaraz chodzić po Czechach i Morawie, rozszerzał książki i pozyskiwał członków. Za jego tedy staraniem wzrosła liczba członków w krótkim czasie, bo też nikt nie umiał tak za tem chodzić jak dobry Kubinek.

— A jak on też sobie postępował w takim razie? — zapytał jakiś stary rolnik.

A ksiądz w ten sens prawił dalej:

— Miał on do tego osobliwszy sposób, a tym jest nadzwyczajnie poczciwe serce, którem podbijał sobie wszystkich. Kiedy bywało przyjdzie do jakiego miejsca, zawiesza sobie u szyi wielką harmonijkę i gra na niej rozmaite prześliczne pieśni, a ludzie spiewają z nim razem. Gdy się w takiej chwili rozrzewnią do głębi serca i duszy, wtedy odzywa się do nich:

— Widzicie, moi kochani, jak to dobrze mieć dobre i pożyteczne książki, bo w nich zawiera się to wszystko, coście słyszeli a oprócz tego są tam takie ciekawości, że wolelibyście nieraz nie jeść i nie pić, byle tylko czytać. A mam ja ich nie mało, a kosztują nie wiele....

Wtedy kupują ludzie jednę za drugą i cieszą się niewymownie, a Kubinek wzywa potem, aby się wpisywali do towarzystwa św. Jana, to im będzie wiele i pięknych przysyłać książek. I wpisują się ludzie sami, zapisują całe rodziny i szkoły.

A gdyby w którem miejscu byli ludzie uporni i niechętni, to Kubinek wszelkiemi sposobami łagodzi ich i budzi przekonanie, że oświata jest niezbędną, jeżeli ludzie chcą mieć lepsze czasy. I dziwią się ludzie, że on i najprzewrotniejszych umie na prostą naprowadzić drogę. Bogatych umie sobie zjednywać i podchodzić tak zręcznie, że nieraz mimo woli zapisują się do towarzystwa. Ubogim czeka na wkładkę, albo sam za nich płaci z własnej kieszeni, byle tylko czytali i postępowali w cnotach. A za trudy swoje nie żąda on od towarzystwa ani grosza; robi to z poświęcenia dla ojczystego kraju, który radby widzieć zamożnym i oświeconym.

Ale gromadził on członków nie tylko dla towarzystwa św Jana, albowiem gdy powstało drugie takie towarzystwo pod nazwą: „Dziedzictwo śś. Cyryla i Metodego“ — Kubinek znowu największą rozwinął czynność, by i ono jak najwięcej miało członków. I udawało mu się znowu bardzo pomyślnie i jak jedno tak i drugie towarzystwo cieszyło się za jego pomocą najlepszem powodzeniem.

Kiedy zaś w Karolowym Hradcu zawiązało się trzecie towarzystwo w celu szerzenia pożytecznych książek dla szkolnej

dziatwy, i tu Kubinek główną był podporą i jak pisano o nim w 1868 roku rozsprzedał sam więcej niż 100 tysięcy książek!

— A to rzecz nie łada! — zawołał jeden ze słuchaczów.

— A widzicie — mówił ksiądz — co to przy dobrej woli i mniej znaczący człowiek wykonać może! Kubinka też za to ceniły nie tylko towarzystwa, ale szanują go ludzie i powierzają mu pieniądze bez najmniejszych dowodów, bo wiedzą dobrze, że ich nie oszuka i rzetelnie odda w przeznaczone miejsce. Sam czyta i teraz bardzo wiele, a przystając nadto z ludźmi mądrymi i uczonymi, nabył wiedzy, to też chodząc od wioski do wioski, poucza ludzi w różnych wypadkach i skłania ich do czytania dobrych książek.

I tak jeden zachęci znowu drugiego, ten trzeciego, i krzewi się oświata, a przez nią rodzi się dostatek i wygoda w życiu.

Uważcież sobie tedy, moi ludzie, ile to dobrego robi ten Kubinek, jak wielką jest jego zasługa! Żeby i w naszym kraju znaleźli się podobni ludzie, wnet poznalibyśmy różnicę w życiu naszem. Ale u nas mało ludzi garnie się do oświaty, mało jest takich, którzyby czytywać lubili lub drugich do tego zachęcali. Znamy tylko jednego Macieja Szarka, który budzi zamiłowanie do czytania. Uczcie się wy moi drodzy, zapatrujcie się na Sebastjana Kubinka i bądźcie mi zdrowi! — powiedział ksiądz i odszedł od ludzi, którzy znowu patrzyli na obrazy.

Józef z Bochni

Skowronek na mrozie.

Już zabłysnął dzionek miły:
Słonko błogie ciepło sieje,
Ptaszki wiosnę ogłosiły,
Znikły mrozy i zawieje.

A skowronek piewca mały
Wzlata z pieśnią pod obłoki.
I westchnienia i zapały
Już roznosi w świat szeroki.

— Oj! śpiewaku, czy nie wcześnie
Chcesz nadzieje w nas obudzić?
Twoja piosnka brzmi jak we śnie,
I chłód może ją ostudzić!

Bo już nieraz się trafiło,
Że wśród śpiewu pierś zziębnęła,
I dopiero za mogiłą
W świętym hymnie zapłonęła.

On nie zważa na przestrogę,
Buja w powietrza krainie;
Chociaż śnieg pobielił drogę,
Słonko ciepłe w chmurach ginie.

Wicher ostry zadął w światy,
I zamroził piosnkę lubą.
Gdzież ten śpiewak, gdzie skrzydlaty
Jak uchroni się przed zgubą?

O przyjmijcie go pod strzechę
Tulcie go do waszej piersi!
A tak dla was na pociechę
Wyrwie się z objęcia śmierci.

I znów wzleci ponad niwy,
Z pieśnią wzleci ponad domek,
A po burzy znów szczęśliwy
Ogłosi wam błogi dzionek!

M. Nadwiślak.

Nosorożec.

W ostatnim numerze podaliśmy Wam rycinę i opisanie słonia. Otóż obecnie chcemy Wam opisać i jego krewniaka t. j. nosorożca. Milej nam było pisać o słoniu, bo było choć co opowiedzieć także i o pożytku, jaki z niego ludzie mają i o jego dobroci, a na nosorożca musimy się jedynie skarzyć. Dziwna to rzecz, jeden do drugiego podobny, niejako do jednej należą rodziny, a mimo to tak różnią się od siebie. Lecz to między ludzmi tak się zdarza — jeden brat dobry, szlachetny, a drugi zły i szkodzi swoim bliźnim, ot jak to mówią „Z jednego drzewa krzyż i łopata". — No, ale powiecie: „Gada, gada a jeszcze nam nie powiedział, czemu to sobie słoń i nosorożec braćmi." Otóż nie chcę Was dłużej nudzić i opiszę Wam to zwierzę. — Jak z ostatniej ryciny widzieliście, słoń nie bardzo przystojny — nożyska, jak konwie, łeb, jak ceber, prócz tego ryjek — gruba skóra. I nosorożec nie piękniejszy od niego ma grubą rogową skórę na swem dziwacznem cielsku, które jest cokolwiek mniejsze od ciała słonia, po kilka włosków na niej, nogi równe nogom słonia, tylko trąby nie posiada. Czemżeż on się bronić będzie, jak go inne zwierzęta opadną? Otóż w miejscu trąby dał mu Bóg wszechmocny ząb ogromny na nosie, powiadam ząb, chociaż to ludzie rogiem nazwali. I dlaczegoto? Bo róg to niby tak jak u bydlęcia na ciemieniu, a ząb w paszczece, róg czarny i miękki, a ząb biały albo żółty i twardy. A właśnie taki wyróst ma nosorożec pomiędzy nozdrzami. Uszy jego także odmienne od słoniowych, nie są

bowiem zwisłe i szerokie, ale wąskie i sterczące. — Ogón ma podobny do ogona krowiego.

Ten zwierz potworny mieszka w Indyach, krainie w innej części świata, którą nazywają Azyą. I on nic innego nie jada, jak tylko rośliny i dlatego, że wiele pożywienia potrzebuje,



przemieszkiwa w miejscach, gdzie wiele roślin i wielka trawa. Otóż w tych Indyach są wielkie rzeki a ponieważ nad rzekami rośliny najbujniejsze, przeto nosorożec po największej części nad temi wielkiemi rzekami przesiaduje, bo ma co żreć i wody pod dostatkiem. Wiele on szkody nie narobi! — Nad temi rzekami są ogrody i pola na których ryż sieją, a nosorożcowi smakuje słodka łodyga ryżu. Biedne te ogrody i pola! Wleci bowiem poczwara, żre i żre a przytem łazi po polu i tratuje rośliny. Dlategoteż ludzie chętnie się starają pozbyć się tego

niemiłego gościa i robią nań polowania i obławy. Ale jakto trzeba być ostrożnym na takiem polowaniu! Bo nosorożec posiada nadzwyczaj bystry słuch i ostry węch tak, iż na kilkadziesiąt kroków zwietrzy swego nieprzyjaciela. Jeszcze szczęście, że wzroku nie posiada równie bystrego, bo wtedy by sobie nie można dać z nim rady. I tak już trudne na niego polowanie, ponieważ, jak go się wytropi, dobrze uważać należy, skąd wiatr wieje, a nie daj Boże, jak wiatr dmie na nosorożca, bo też zaraz myśliwego zwietrzy i już po polowaniu. Ale to nicby jeszcze nie było, gdyby się polowanie tylko nie udało, nosorożec jeszcze do tego mściwy i chętny zabić przeciwnika. Osobliwie, gdy go kula tylko draśnie, no wtedy mów pacierz, bo to nie żarty, jeżli się nosorożec rozłości. Wtedy, biegnie za węchem, oczy przymruży, nos na dół spuści i pędzi nadzwyczaj szybko na tego, co go pokrzywdził. Łamie drzewa, tratuje wszystko na co stanie, a jak cię dopędzi, toś przepadł. Jedynie możliwy ratunek, by ujść złości nosorożca, jest poskoczyć w bok i pędzić na kilkadziesiąt kroków w prostym kierunku, bo nosorożec nie łatwo ucieczkę tę spostrzeże. Dlategoto tylko najlepsi myśliwi wybierają się na takie polowania i strzelają nosorożcowi w oczy, bo skóra jego tak twarda, iż kula przez nią nie przeleci. Jużto nietylko jako szkodnika prześladują ludzie to zwierzę, ale także i dla tego zęba, co go ma na nosie, wyrabiają zeń bowiem rzeczy takie, jak ze słoniowej kości. Nietylko jednak człowiekowi słoń jest tak nieprzyjaźnym, — i od zwierząt sobie w kaszę napluć nie da, a nawet z słoniem czasami staje do walki. I nie koniecznie słoniowi w walce ulega, chociaż jest mniejszy, bo gdy podbiegnie pod brzuch słoniowi, to mu go rozpruje, że aż jelita wylecą. Piszą o tem ludzie, co taką walkę widzieli, że to aż strach patrzyć na te dwa potwory. Tu słoń wywija trąbą i pruje kłami z góry. tam znowu nosorożec w największym pędzie łeb zwiesi na dół i ząb swój wystawia. Z drzew drzazgi lecą, uderzenia trąby to jakby strzały z fuzyi, a tam, gdzie się te olbrzymy biją, tam nie tak prędko trawa urośnie, bo zatratują ziemię tak, że ani znaku, iż tam kiedyś od trawy się zieleniało. Wreszcie słoń stanął nogą na łeb norożcowi, aż się zachwiał; ale wkrótce

znów swój łeb do góry podnosi i podsuwa się pod brzuch przeciwnika. Tak prują się i biją godzinami, aż jeden z nich wreszcie zginie.

Ale słoń mimo to, że tak dziko bić się umie, daje się przecież łatwo ułaskawić, a nosorożec to już taki dziki, że o ułaskawieniu jego nawet myśleć nie można. Dlategoto nie wożą ze sobą ci co to zwierzęta za pieniądze pokazują, nosorożców, bo się sami ich boją i tylko gdzie niegdzie w bardzo wielkich miastach po ogrodach takie potwory chowają.

Z mojej podróży.

Minionego lata byłem w tej części naszej ziemi polskiej, która jest pod Prusakiem, i nazywa się Wielkiem Księstwem Poznańskiem. A nazywa się tak dla tego, bo główne miasto jest tam Poznań. Oglądałem miasto całe, kościoły, gmachy, budynki, co Wam wszystko kiedyindziej opiszę. Pozałatwiałem moje sprawy i już miałem powracać do domu, gdy przypadkowo na ulicy spotkałem się ze znajomym, którego lat kilka już niewidziałem. Przywitaliśmy się serdecznie, jak zwykle po długiem niewidzeniu się. Zaczęliśmy jeden drugiego wypytywać, co przez ten czas porabiał, i zagadaliśmy się na dobre. W końcu przyjaciel mój prosi mię, abym do niego na parę dni zagościł gdyż niedaleko od Poznania na wsi mieszka. Nie spieszyło mi się tak bardzo do domu, kilka dni miałem jeszcze wolnych, to też z chęcią przyjąłem zaproszenie, i nazajutrz skoro świt wyjechaliśmy na wieś.

— Mój Boże, tam w Poznańskiem inny jakiś porządek. Jechaliśmy nie gościńcem, ale drogą boczną. Droga, którą tam gminy urządzają, w wielkim bardzo porządku utrzymana. Co więcej, po obu stronach drogi pozasadzane drzewa, najwięcej owocowe. Naokoło pola, snać dobrze uprawne jak widno po ładnem zbożu. Przejeżdżaliśmy środkiem kilku wiosek. Wioski ładnie pobudowane, chaty nie słomą lecz gontem kryte, dostatecznie schludne, okna wielkie, czyste, aż patrzeć miło. Z bolem serca dowiedziałem się, że wioski do Niemców należą, i że wieśniacy w nich także osiedleni Niemcy koloniści. Ha, nie

umieliśmy gospodarować, kiedy nas Niemcy na każdym kroku uprzedzają i zawstydzają. Jechaliśmy dalej, tu znowu polska wioska jedna, dalej druga, trzecia, wprawdzie nie tak dobrze zbudowana, jak owe niemieckie, ale bardzo starannie i czysto utrzymana. Aż mi się milej zrobiło, gdym popatrzył. Ludek w odzieniu czystem, na twarzy rumiany od wewnętrznego zdrowiaj aż miło popatrzeć. Zajechaliśmy wreszcie do Zatorni, tak się nazywała wioska gdzie mieszkał mój przyjaciel. Ładna to była wioska. Sady naokoło, tak że zda ci się w ogrodzie jesteś. Po małym wypoczynku, poszliśmy z przyjacielem oglądać bliżej wioskę. Byliśmy w kościółku, który nam ksiądz pleban kazał otworzyć W kościółku schludnie, a co mię najbardziej zastanowiło, to że ściany bardzo ładnie były pomalowane. Ksiądz pleban widząc me zdziwienie, rozpowiedział, jak to mieli we wsi chłopca, który do różnych rzeczy wielką miał zdatność. Uczył się dobrze, ale że był sierotą to trudno mu to przychodziło. Wreszcie włościanie widząc chęć wielką chłopca wysłali go kosztem gminy na naukę do Poznania. Tu chciał przypadek że chłopak zamieszkał u starego malarza. Obudziła się w nim żyłka do malowania, a stary malarz kontent z tego począł go uczyć w tym zawodzie. Za parę lat z chłopca dzielny zrobił się malarz Są w wielkich miastach dobrodzieje, którzy takich zdolnych młodzieńców dalej uczyć dają, a nawet w dalekie kraje swoim kosztem wysyłają. Otóż i tu się tak stało. Jeden z takich panów zobaczył malowania wiejskiego chłopaka, uradował się bardzo, bo był wielkim malowania przyjacielem i lubownikiem. Kazał go dalej uczyć, potem posłał do Włoch na lat kilka, z kąd nasz wieśniak tęgim malarzem powrócił. Jak tylko powrócił, zaraz pospieszył do swej rodzinnej wioski, i chcąc odwdzięczyć gminie starania około niego, sam kościółek malowaniem przystroił i kilka ładnych obrazów swojej roboty do ołtarzów podarował. I teraz ma za to Zatornia kościółek, jakiego i w wielkim mieście nie zobaczysz.

Dalej poszliśmy do szkółki, i tu znowu musiałem się dziwować. Bo już to takiej szkółki, to u nas w całej Galicyi nie ma. Dom ładny piątrowy, okna jasne i wielkie, ławki porządne, ale to wszystko niczem. Gmina własnym kosztem postawiła, i bardzo ją mądrze urządziła. Bo tam nietylko się czytać i pisać

uczą. Uczą tam się wielu innych rzeczy. Wzięła gmina nauczyciela z Poznania i płaci mu aż trzysta talarów to jest 450 zł.

Wielki to grosz, prawda, ale też jest i za co zapłacić: Dzieci bowiem uczą się prócz zwykłych rzeczy szkolnych wielu innych pożytecznych wiadomości. Ale nie myślcie, aby nauczyciel dzieciom głowy zawracał w zadusznej izbie, i plótł im cuda różne. Niech Bóg zachowa! Otóż tak się dzieje: Rano przychodzą dzieci do szkoły. Jest tam już ksiądz pleban, każe dzieciom poklękać i nabożnie odmówić ranny paciorek. Potem przegląda ksiądz pleban wszystkie dziatki: patrzy na każde, czy umyte, czy ma włosy rozgarnięte, czy nie jest obdarte. Rzadko się zdarzy, że któreś dziecko nie umytą ma twarz lub ręce; zaraz mu każe ksiądz pleban w przyległej izbie umyć się. Bo czystość to konieczne dla zdrowia. Kto codzień rano twarz myje, i oczy przepłócze, tego nie tak łatwo czepi się wyrzut brzydki lub też choroba ócz. A co do ubrania dzieci, to już wszystko jedno, byle chędogo a nie podarto. Zawczasu dobry księżunio przyzwyczaja dziatwę do porządku w odzieży. Przyjdź w koszulce tylko moje dziecię, mawia ksiądz pleban, ale niech ta koszulka nie będzie brudna, albo podarta. Wody Pan Bóg dał pod dostatkiem żeby się każdy umyć i oprać mógł, a igła z nitką toć nie wielkie skarby. Zaszyj małą dziurę nie doczekasz się większej, nie będziesz łaził w łachmanach. Tak mawia ksiądz pleban, a dziatwa słucha i bierze do serca tę naukę. Następuje z kolei nauka religii, gdzie w dobitnych słowach ksiądz pleban wskazuje zasady naszej wiary św. zachęca do cnoty, i uczciwego żywota. Po księdzu plebanie przychodzi pan nauczyciel, i rozpoczyna znów swoją naukę. Wzimie uczy dziatwę czytania i pisania, oraz innych domowych zatrudnień. A jak skoro wiosna zawita, to cała nauka się odmienia. Wtenczas już dziatwa nie siedzi w izbie szkolnej, ale pod bożem pięknem niebem uczą się. A dzieje się to tak: Około budynku szkoły jest ładny kawał gruntu darowany przez gminę na użytek szkoły. Otóż jest to szkółka drzewek; dzieci własnemi rękami sadzą drzewka, pielęgnują, szczepią, obcinają, słowem robią wszystko z wielką radością około drzewek pod okiem nauczyciela, który co chwila ich poucza i wszystko

wyjaśnia. Dziatwa wyuczywszy się zasadza i szczepi drzewka koło chat swoich rodziców; szczepki biorą na to z szkółki; i dziś dlatego wieś wygląda jak jeden ogród. A owoce aż miło, takie dobre. Dalej jest pasieczka. Tu znowu nauka. Pod okiem nauczyciela dzieci cały rok doglądają ukochanych pszczółek, i cieszą się w pośród tej miłej nauki, co ina na późniejszą korzyść wyjdzie. Gdy w polu większa robota, i dzieci rodzicom pomagać muszą, wtenczas nauczyciel nieraz idzie, i gawędzi ze starymi pouczając młodych. W dnie wolne idzie z dziatwą na dalekie przechadzki, i tu opowiada im cudne rzeczy pouczające. Opowiada o tem, jak Bóg cudnie tę ziemię naszą przystroił w kwiaty i pola, łąki, lasy, wzgórza i rzeki. Wyjaśnia pożytek każdej trawki, każdego ziółka. Rozpowiada o tem, które zwierzęta nam są w gospodarstwie pożyteczne, a które szkodliwe. To też nietylko dziatwa ale i gospodarze ukochali tego nauczyciela, który ich dziatwę tak mądrze prowadzi. Słyszałem na własne uszy, jak gospodarze o nim prawili. Rozpowiadali mi, że rząd chciał go wziąść na lepszą posadę do miasteczka, ale oni podnieśli mu płacę i nie puścili od siebie.

Mój Boże, pomyślałem sobie gdym odjeżdżał; czemu to u nas dotąd takich wiosek nie ma, i szkółek takich. Może też i u nas kiedyś tak będzie.

Stach ze Lwowa.

Rozmaitości.

Pożary: Zachęcaliśmy was niedawno do zabezpieczenia mienia i chat waszych, od zniszczenia ogniem. Mówiliśmy, że za niewielki koszt Towarzystwo krakowskie pod wezwaniem św. Floryana od strat was uchronić może, bo wrazie przypadku straty wam powróci Na dowód i przykład znowu wam opowiemy, jak to w ostatnim miesiącu wiele u nas zgorzało mienia włościańskiego, a wszystko prawie niezabezpieczone. Oto dnia 3. lutego zgorzał w Bóbrce, w powiecie łańcuckim młyn, szkoda niezabezpieczona wynosi 600 złr. Tegoż dnia w Krzyżu w powiecie tarnowskim spłonęła zagroda włościańska, szkoda wynosi 450 złr. Dnia 7. lutego zgorzała w Iwanówce w powiecie skałackim dom włościański, szkoda niezabezpieczona wynosi 50 złr. Dnia 8. lutego zgorzała w Ruskiem w powiecie liskim zagroda włościańska, ogień był podłożony, szkoda niezabezpieczona wynosi 228 złr. Dnia 12. lutego zgorzała w Krajowicach w powiecie łańcuckim zagroda włościańska, szkoda niezabezpieczona wynosi 200 złr. Dnia 17. lutego zgorzały w Korolowie w powiecie zaleszczyckim trzy domy, szkoda niezabezpieczona wynosi 160 złr.

Dnia 25. lutego zgorzała w Dąbrowej w powiecie ropczyckim zagroda włościańska, w płomieniach zginęli gospodarz i jego żona. Tyle smutnych przykładów wam wskazujemy. Postępujcie bracia, jak chcecie, ale zawsze pamiętajcie, że strzeżonego Bóg strzeże.

Dodatek polityczny.

F r a n c y a. Z bolem serca przychodzi nam donieść o zakończeniu wojny między Prusakami a Francuzami, lecz pokój już zawarty, a prawdy zataić nam nie wolno, ani też jej taić nie chcemy.

Gdy Paryż upadł, można było przewidzieć, że już po wojnie. Nie spodziewaliśmy się jednak nigdy, żeby Prusaki były tak złe i bezwstydne, jakiemi ię okazały przy zawarciu pokoju. Ludzie bowiem bywają chociaż jako zwycięzcy przynajmniej o tyle szlachetnymi, iż się nad zwyciężonymi nie znęcają, że tego, któremu już zabrali koszulę, nie obiją kijami tak, że aż wstać mu niepodobna. Myśleliśmy, że Prusaki przecież ludźmi, i że kiedy już Francyę z odzienia odarli, jej przynajmniej nie obiją. Ale gdzietam! chcą szalone szczęście, które im w bitwach sprzyjało, jeszcze i po wojnie wyzyskać. Dlatego to, jak Paryż im się poddał, nadęły się przed Francuzami, jakby im jakie dobrodziejstwo wyświadczyły i każą sobie jeszcze za to wszystko dziękować. To tak niby zupełnie jak u Moskali, — nabiją, natłuką, naplują w oczy i każą potem ławkę brać na plecy i panu kapralowi katowskie ręce ucałować.

Oto posłuchajcie: Gdy Francuzi już sami poznali, iż dalsze prowadzenie wojny byłoby daremnem, gdyż Prusaki już prawie połowę Francyi zajęły, wysłali swoich ministrów panów Thiersa i Favra do obozu prusk ego króla, kt ry się niemieckim cesarzem przezwał, aby się z nim o pokój ułożyć. I niemieckiemu cesarzowi już się dalsza wojna sprzykrzyła, dał więc zlecenie swemu zausznikowi Bismarkowi, ażeby jak najwięcej Francuzom wydarł. Pan Bismark wypełnił rozkazy swego króla nietylko bardzo dokładnie, lecz zażądał tyle, ile się nikomu na świecie śnić nie mogło. Targowali się zatem dłuższy czas, lecz wilk z owcą nie robi wielkich ceremonji. Tak też pan Bismark

rozkazał, a biedaczyska Francuzi słuchać muszą. I tak stanęły warunki pokoju, z których główniejsze Wam tu chcę przytoczyć. — Otóż muszą Francuzi zapłacić Prusakom za to, że ich nabiły, pięć tysięcy milionów franków, czyli na nasze licząc pieniądze, dwa tysiące pięć set milionów złr. w. a., muszą odstąpić całą Alzacyę i Lotaryngję, muszą zezwolić na to, ażeby część pruskiej armii wkroczyła do Paryża, i wreszcie, ażeby Francya utrzymywała piećdziesiąt tysięcy niemieckich żołdaków w kraju swoim tak długo, aż tych pięć tysięcy milionów do grosza nie wypłaci. Nie jestże to bezczelność, nie bezwstyd?! Czy możecie Wy sobie wyobrazić, co znaczy pięć tysięcy milionów franków?—Oto, gdyby tę sumę w złocie zważyć, toby ważyły te pieniądze trzydzieści i dwa tysiące, dwieście pięćdziesiąt ośm cetnarów, a w srebrze pół miliona cetnarów! — I któż to wstanie zapłacić? — Zażądały jeszcze Prusaki, aby te ich żądania sejm francuzki zatwierdził. I rzeczywiście zebrał się ten nieszczęsny sejm. Byli tam ludzie, co jeszcze chcieli honor Francyi ratować, ale więcej było takich, których za pokojem skorciło. I niestety! zatwierdził sejm ten pokój, a Prusaki szczęśliwe, bo będą miały tyle pieniędzy, iż żaden z nich całemi latami robićby nie potrzebował. I to — powiedzą ludzie, że są dobrzy i uczciwi, jeżli jedni drugich tak odzierają! — I cóż za to Prusaki uczynić się zobowiązały? — Oto jakby na śmiech wypuszczą Napoleona zdrajcę, którego Francuzi ani widzieć nie chcą, i odeszlą Erancuzom do domu ich jeńców. Otóż i to wszystko!

A teraz chcę Wam także nieco i o tem donieść, co się u nas dzieje, chociaż także nic takiego nie zaszło, czembyśmy się cieszyć mogli.

Austrya. Jak Wam donieśliśmy, obecne ministeryum przedsięwzięło sobie wszystkie narodowości w Austryi pogodzić i życzenia krajów zaspokoić. Ale jak to mówi stare przysłowie: „Jeszcze się ten nieurodził, ktoby każdemu dogodził“, tak też i ministerium godzi i godzi, a o ugodzie jeszcze mowy nie ma. Nie podoba się to Niemcom, że dwu Czechów jest ministrami. Nie podoba się to także Czechom, bo wypowiedzieli ministrowie, że się chcą trzymać rękami i nogami obecnej konstytucyi, o któ-

rej Czesi nic wiedzieć nie chcą. Nie bardzo też to i dla nas dobre, obiecali bowiem ministrowie, że postawią w Radzie państwa, gdzie to prawa dają, wniosek, aby nam dano to, czego Sejm nasz żądał, a dotychczas jeszcze obietnicy nie wypełnili. Nie mieli nic prędszego do czynienia, jak postawić wniosek, aby podatek uchwalono i rekrutów pobrano. Nasi delegaci, których Sejm do Wiednia na to posłał, aby się tam dla nas samorządu czyli, jak mówią, autonomii domagali, ziewają sobie w ławkach Rady państwa i słuchają tylko, jak Niemcy na ministrów ujadają, sami zaś do niczego się nie mięszają. I tak więc zdaje się, że wrócą do nas z gołemi rękami.

Wyobraźcie sobie np. to: Czechy i arcyksięstwa Austryi są razem tak wielkie, jak nasza Galicya. Mają już tamte kraje dobre mosty, bite gościńce, groble nad rzekami — słowem wszystko to, czego u nas pod dostatkiem jeszcze nie ma. Nie wylewały tam u nich rzeki tak, iżby byli włościanie swe chaty potracili, a handel nie został przerwany, bo mają wiele i dobrych dróg, a koryta rzek starannie utrzymywane. U nas zaś mnóstwo gmin z początkiem tegorocznej wiosny zostało poszkodowanych, bieda wszędzie, a jak deszcz pokropi, to wozu z błota ani rusz! — I jakżeż temu chcą zaradzić? — Oto dla Czech i obu arcyksięstw austryackich uchwalili do pół miliona reńskich, a dla nas tylko sześćdziesiąt tysięcy! — I cóż w takim kraju jak nasz za te pieniądze zrobić można? Znowu będziemy mieli powodzie, a bryki i fury będą się topiły po drogach.

Złote ziarna.

Dumać dobrze, w dumaniu nie topić się przecie,
Każdemu kto nieumarł, czynnym być na świecie.

Chełpisz się, iżeś panem w swoim własnym domu,
I ślimak nieustąpi w tym względzie nikomu.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.